

## LUDWIK WIŚNIEWSKI

ur. 1936; Skierbieszów



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Gdańsk, Lublin, Wrocław, PRL, duszpasterstwo akademickie, Służba Bezpieczeństwa, kontakty z SB, przesłuchania, rewizja, ulica Żłota 9, podsłuch, stan wojenny, donosy

### Obserwacja przez Służbę Bezpieczeństwa

Jak byłem młodym księdzem w Gdańsku, to czekałem, kiedy mnie wezwą. I przez parę lat nie wzywali. Myślałem, jak to się zachować. Dziś nie potrafię powiedzieć, kto mnie pouczył. Być może był to wybitny ksiądz lwowski, który kilka lat spędził w ciężkim więzieniu, a wtedy był proboszczem sąsiedniej parafii mariackiej w Gdańsku, ksiądz Artur Przetocki. W każdym razie mówiono mi tak: „Wiesz, jak będą cię przesłuchiwać, to pierwszą rzeczą, którą trzeba zrobić, to zdenerwować przesłuchującego. Bo on będzie udawał przyjaciela – i tak zawsze było – «my księdza rozumiemy, bardzo cenimy, ktoś chce nogę podstawić, my chcielibyśmy księdzu pomóc»”. Zawsze to tak się rozmawia. Więc mówiono mi – pierwsza rzecz to zdenerwować faceta. I parę razy mi się to udało. Ja za często nie chodziłem.

W Gdańsku kontakt był jaki? Miałem raz rewizję, jedyną w życiu miałem rewizję w mieszkaniu, to właśnie w Gdańsku. Ale to było rok przed opuszczeniem Gdańska, w [19]71 roku, na skutek tego, że ludzie, którzy wyszli z duszpasterstwa, jakieś tam ulotki wieszali. Jedną z tych osób, które wtedy do duszpasterstwa chodziły, [był] taki literat – Antek Pawlak. I wreszcie przyszli na rewizję, oczywiście nic nie znaleźli, ja byłem czyściutki. W tamtych czasach nic nie miałem. Jakieś tam papiery zabrali na komendę, stos papierów, potem mi to oddali. Dalej jaki kontakt? Ukradli mi kiedyś dowód, żeby ze mną rozmawiać. Ja miałem obyczaj z maturzystami jeździć między maturą pisemną a ustną na takie rekolekcje czy na taki swoisty wypoczynek i pojechałem. Miejscem naszego wyjazdu były Dębki nad morzem. No ale to były czasy, że trzeba było [się] rejestrować, ponieważ to już była młodzież pełnoletnia, to zawsze była taka umowa, że jak coś, to oni sami wyjechali, a mnie tam nie ma. I rzeczywiście w pewnym momencie jakiś najazd na te Dębki wozów policyjnych czy ubeckich i zaczynają przeczesywać wieś, i pytają o niezameldowanych ludzi. Ja się zorientowałem, że to my, więc gdzieś tam się skryłem w krzakach. Namioty mieliśmy

rozstawione, więc nasi ludzie się tłumaczyli. Potem mi powiedziano, że w moim namiocie byli. I wtedy mi w tym namiocie dowód ukradli. No i kiedy złożyłem już wniosek o nowy dowód, telefon: „Dowód księdza jest u nas”. A ja mówię: „A jak mogę odebrać?”. Podano mi adres prywatny. Oni mieli te prywatne takie mieszkania, więc przeorowi powiedziałem, pod jaki numer idę i po co i poszedłem. „Koniaczkę? Koniaczkę?”. Ja mówię: „Nie, dziękuję. Herbatę to bym wypić”. „A, przepraszam. Nie mamy tu warunków w tych mieszkaniach”. Koniaczką mogli częstować, ale herbata nie bardzo. I mówię: „Gdzieście ten dowód znaleźli?”, „A, ktoś na pocztę rzucił do skrzynki. A jak ksiądz go zgubił?”. A ja mówię: „Nosłem tu, pewnie mi wypadł”. Ale to była jedyna rozmowa, jedyna propozycja, jaką miałem w życiu. „Biskup chce się księdza pozbyć, ale ksiądz nie musi wyjeżdżać”. Dali mi znać, że gotowi są stanąć w mojej obronie. To była jedyna propozycja w życiu. Ja mówię: „Co?! Ja z własnej woli wyjeżdżam. Prosiłem o wyjazd”. A potem jeszcze ktoś przyjechał z Warszawy do Gdańska, do dzisiaj pamiętam, jak mi się przedstawił – jakiś tam kapitan Ścitolowiecki. „My bardzo księdza cenimy. Już mamy coraz więcej inteligentnych oficerów, ale trochę tej ciemnoty było tutaj. Gdyby coś zaistniało, proszę o telefon”.

Natomiast jak do Lublina przyjechałem, to przez parę miesięcy nie było kontaktu. W [19]72 przyjechałem. W [19]73 poszedłem na pielgrzymkę z Warszawy do Częstochowy. Duża grupa także z Lublina poszła młodzieży. I po pielgrzymce wzywają mnie. Zasada była wtedy taka, że idzie się na pisemne wezwanie. Ale ja mówię przeorowi: „Jestem od niedawna w tym Lublinie. Zrobię im tę przyjemność i pójdę”. I poszedłem. Przesłuchiwał mnie taki człowiek, to niby nie było SB, tylko Urząd do spraw Wyznań. Do dzisiaj bardzo dobrze pamiętam tę rozmowę. Najpierw spisywał długo, imię, nazwisko, imiona matki, ojca, coś tam... Wreszcie – stawia mi pytanie: „Co ksiądz robił w sierpniu?”. Ja mówię: „W sierpniu miałem urlop”. „Ale co ksiądz robił?”. Ja mówię: „Odпочywałem”. Na co on, nie bardzo zadowolony był, ale: „Czy ksiądz w sierpniu wyjeżdżał do Częstochowy?”. Ja mówię: „Nie wyjeżdżałem”. „To jak się tam ksiądz znalazł?”. Ja mówię: „Na piechotę poszedłem”. I w tym momencie został ugotowany. I zaczął krzyczeć: „I co tam ksiądz mówił?”. Ja mówię: „Proszę pana, zależy, co pana interesuje. Były tematy o sakramentach, o Kościele” i tam coś jeszcze wymieniałem. „Ja nie wiem, co pana akurat interesuje”. I on ugotowany kompletnie krzyknął: „Lenina ksiądz atakował!”. Ja rzeczywiście Lenina cytowałem, takie jego zdanie o Kościele katolickim i o księżach katolickich, ale nie atakowałem. No więc tak się to odbyło. Potem, tu, w Lublinie, kilkakrotnie dzwoniło do mnie: „Chcieliśmy z księdzem porozmawiać”. I ja mówię: „Nie mogę pójść”. „Dlaczego ksiądz nie może?”. Ja mówię: „Bo, wie pan, jak byłem ostatnio, to wy krzyczycie, a ja nie znoszę krzyku”. „Jak to krzyczymy?”. A ten sam głos poznaję. Ja mówię: „No, nie wiem. Krzyczano na mnie ostatnio”. „Jak? Przecież bardzo delikatnie rozmawialiśmy”, on mówi. „Może to delikatne, ale ja nie mogę, bo ja jestem czuły na te krzyki”. Kiedyś mi przysłali, znalazłem gdzieś tam, wezwanie na piśmie. Ja nie wiem, czy nie po powołaniu tego ROPCiO do życia. Zasada była: na piśmie – idzie

się. To jest udokumentowane normalne wezwanie, normalna działalność. Natomiast inaczej się nie idzie. I ja zasadniczo nie chodziłem.

W Lublinie od samego początku [byłem obserwowany], moje akta są niestety zniszczone, ale ktoś mi przyniósł jakiś mały raport z początków mego tutaj przebywania, tu jest [19]73 rok i potem chyba [197]4 czy [197]5, więc od początku. Natomiast nasilenie, takie zdecydowane już nasilenie i pilnowanie każdego kroku – ja przez kilka lat nigdy sam nie jechałem, zawsze oni jechali za mną, albo pociągami, albo samochodem, zawsze byli, także tu dzień i noc pilnowali – myślę, że rozpoczęło się w [19]75 roku. I to było spowodowane nie przeze mnie, tylko przez moich studentów. Postanowili uczcić ofiary roku [19]70 w piątą rocznicę, zamówili mszę. Nie mu mnie, chyba u wizytek. I w nocy trójka rozwieszała afisze informujące lublinian. Do dzisiaj oni są niezadowoleni, jak mówię, że z radością, mając wiaderko kleju, chodzili – trójka, dwie dziewczyny, jeden chłopak. Chłopak to Marian Piłka, a dziewczyny to Magda Górską, obecnie Żywicz, z Gdańska i Ania Żurawska, obecnie Samolińska. I wszyscy zostali zwinęci na 48 i tak rozpoczęła się taka epopeja zamykania tych młodych ludzi na 48 [godzin]. Na marginesie chcę powiedzieć, że ja się zawsze bałem rodziców, bo oczywiście jak studentów zamknęli i rodzice przyjeżdżali skądś tam, to pierwsze kroki kierowali do mnie. Ja się zawsze ich bałem i muszę powiedzieć, że zawsze rodzice zdawali egzamin. Nie spotkałem się z pretensją, bo to najłatwiej jest przypisać: „On jest stary i tych młodych napuszcza”. Nigdy żaden rodzic nie zgłaszał pretensji.

Po pewnym czasie – ja nie potrafię w tej chwili powiedzieć, który to był rok – zorientowaliśmy się, że mamy podsłuch. Muszę powiedzieć, że ja zorientowałem się po rozmowie z rektorem KUL-u, który mieszka tu zresztą, ojcem Albertem. Coś mi tam powiedział, nieściśle to było, myślę sobie „Aha, coś tu musi być”. I pewnego wieczoru zostawiłem chyba dwóch czy trzech chłopaków i mówię: „Szukamy podsłuchu. Musi tu być gdzieś podsłuch”. No więc zaczęliśmy szukać i rzeczywiście odkryliśmy. Za ścianą jest dom dziecka, więc oni stamtąd się przekuwali, tutaj za tą listwą dolną, zauważyliśmy, że ona jest nieco odgięta, coś tam jest. Listwę oczywiście jakoś tam urznęliśmy czy wyrwaliśmy, no i zauważyliśmy, że rzeczywiście jest rurka, a w rurce – mikrofonik. I nie byliśmy w stanie tego mikrofonu wyciągnąć, więc pamiętam, że była wielka akcja niszczenia jakimiś tam drutami czy patykami, z dużą radością. Takie to były czasy, więc cokolwiek wtedy się robiło, oni uważali, że robi się przeciwko ustrojowi, państwu. Gromadzenie się, zwłaszcza gromadzenie młodych ludzi, było w ich przekonaniu bardzo niebezpieczne. Oni wiedzieli, [że znaleźliśmy podsłuch], tak że po pewnym czasie to jakoś tam usunęli. Drugi podsłuch był w miejscu, gdzie mieszkałem. Znowu za ścianą był dom dziecka, im bardzo było łatwo się przebić. Też ten podsłuch odnalazłem. Był tym razem już na wysokości mniej więcej oczu, ale za szafką z książkami.

Natomiast we Wrocławiu [jak] byłem, to był stan wojenny. Jak do Wrocławia pojechałem, chociaż nie pracowałem we Wrocławiu, ale miałem swoje wtyczki, taką

całą grupę swoich bliskich znajomych. Z 13 na 14 [grudnia 1981] byłem na politechnice w gmachu A. Odprawiałem mszę, spowiadałem, siedzieliśmy. Bardzo sympatycznie było. Czekaliśmy, że może wkroczą i rozwalą te wejściowe drzwi, i nas rozbiją, ale nie rozbili. Rano wróciłem do domu, a wieczorem znowu poszedłem na politechnikę, tym razem do gmachu D. Też tam odprawiałem. Z gmachu D do gmachu A przez dachy był pewien widok i rzeczywiście tej drugiej nocy rozbili gmach A, ale nas nie ruszyli. Natomiast nie przyszli do mnie. Dopiero gdzieś w styczniu przyszli z papierkiem, żebym lojalkę podpisał i powiedziano mi: „Dopiero teraz przyszły z Lublina księdza papiery”. Tak że nie wiedzieli, że jestem. Tam też oczywiście nie chodziłem, natomiast kilka razy oni, jak chcieli ze mną rozmawiać, otaczali klasztor i dzwoniли po mnie. I ja próbowałem raz czy drugi mówić moim braciom: „Powiedzcie, że mnie nie ma”, ale oni wiedzieli, że jestem, bo dokładnie pilnowali. We Wrocławiu to właśnie było tak, że przyjeżdżali, gdzieś tam widocznie obserwowali od rana, obstawiali klasztor i wzywali mnie na przesłuchanie. Więc ja czasem swoim braciom mówię: „Nie ma mnie”. Ale jak widziałem, że moi bracia zakonni chodzą nerwowo, to brałem tę czarną kapę na siebie, schodziłem, jechaliśmy. No i rzeczywiście usiłowali mnie wtedy przesłuchiwać. Na ogół z tego nic nie było. Już powiedziałem, jak to ten młody człowiek zawołał: „Ależ nas ksiądz musi nienawidzić!”. Angażowali wielkie siły w to, żeby – myślę, że nie tylko mnie – przeszkodzić w tej naszej pracy.

Tak na marginesie, ja nie uważam się za bohatera, tylko po prostu tak się to wszystko złożyło, takie było życie wtedy, z takimi ludźmi w życiu się spotkałem. Natomiast tu trzeba odróżnić dwa okresy. [Pierwszy] to jest ten okres mój lubelski, przed powstaniem Solidarności. Opozycja to była cieniutka warstewka. Ci, którzy byli opozycyjnie zaangażowani, wszyscy się właściwie w Polsce znali. Z tamtych czasów ja tych wszystkich ludzi znam. A zastępy tych ubeków były ogromne. Dlatego każdy z tych tak zwanych ludzi opozycji miał kilku aniołów stróżów. Jeździli, wymieniali się. Był okres, że tak się zachowywali, żeby ten delikwent nie spostrzegł, a później był już okres, kiedy oficjalnie chodzili za kimś. I wtedy, ponieważ ich było dużo, to wymyślali. Nie tylko na mnie, ja do dzisiaj mam gdzieś tu w swoich papierach taki wierszyk na Witka Andrzejewskiego z Gorzowa, którego uważam za swojego przyjaciela i zawsze wspieraliśmy się. I tutaj w Lublinie to samo było. Wywieszali na KUL-u, gdzieś tam jakieś wierszyki. W pewnym momencie była taka akcja, jakieś fotografie takie [preparowane], na którym wypisywano coś tam na maszynie. Jakież wierszyki też pocztą rozsyłano, więc ciągle to było. Ponadto taką aferę zrobili – ja to potem do sądu oddałem – do mojej rodzinnej miejscowości pojechali jako księża, trafili do mojej siostry i do sołtysa, to był mój kolega szkolny, nie żyje już. Moją siostrę pytali, jak tam brat. Ano dobrze. „Myśmy w kurii biskupiej też myśleli, że on taki [porządny], ale okazało się, że trzeba go leczyć”. Bo dziewczynki, chłopcy i inne, w tym kierunku. Ten sołtys, zdaje się, jakiś numer, ale nie cały, zapamiętał. I oddałem to do Zamościa, ale umorzono z braku wykrycia. Myśleli, że to się uda jakoś zniszczyć

dobrze imię. Wymyślali najróżniejsze rzeczy. Na każdym kroku można się było [spodziewać, że] coś wymyślą. Pamiętam taki spływ kajakowy na Czarnej Hańcy. Obok nas był drugi spływ. Oni na pontonach, a my na kajakach. Ich kilku tam było, zresztą zachowywali się bardzo porządnie. Wlepiano wtedy, pamiętam, wszystkim wokół mandaty za jakieś nieprzepisowe biwakowania. My nic, jak święte krowy byliśmy traktowani. Potem za to strasznie im podziękowałem, że „Świetnieście się zachowali”. Więc to takie różne rzeczy były. Takie spływy były bardziej bezpieczne z nimi razem, to miało swoje zalety.

Natomiast drugi okres, to już ten wrocławski. To już nie było tak, ich nie stać było na tego rodzaju rzeczy, natomiast wszystko było bardziej niebezpieczne. Ja nie miałem takiego jakiegoś przeczucia, że zginę, chociaż tak sobie myślałem, że nie wiem, jak to życie się zakończy. Ale wielokrotnie byłem ostrzegany: „Ojczy, proszę nie chodzić wieczorami”. Mój kolega nowicjacki, ojciec Honoriusz Kowalczyk – niby wypadek był. Po wygłoszeniu rekolekcji do byłych internowanych zginął na prostej drodze. Bez świadków, bez niczego. Jestem przekonany, że to jakoś oni zrobili. Ja już kilka razy apelowałem, że jeżeli ktoś wie, jak się [to] stało, niech powie pod sekretem spowiedzi. Przynajmniej temu człowiekowi tyle należy się. Nie chodzi o to, żeby w tej chwili kogoś oskarżać, ale żeby wiedzieć przynajmniej. Mówiłem o Witku Andrzejewskim, to Witek właśnie mi kiedyś opowiadał, jaka to była historia. Wieczorem przychodzi do niego człowiek i mówi – mogę w tej chwili pomylić szarżę – „Jestem majorem policji czy SB. Proszę o więcej nie pytać. Bardzo proszę księdza, [żeby] nigdy samochodu nie zostawiać w miejscu niestrzeżonym, niepewnym, na ulicy czy gdzieś tam. Dobranoc”. Poszedł. To był ten czas, kiedy rzeczywiście iluś tam tych księży zginęło w przeróżny sposób. I oni rzeczywiście posuwali się – to już nie były takie żarty – do zbrodni.

Rektorem był ojciec Albert, częstym dosyć gościem był jego przyjaciel, dziekan na filozofii, ksiądz Kamiński. I czasem mówiono: „Ach, u tego Ludwika to połowę jest agentów”. Nie wiem, mnie to w ogóle nie interesowało. Jeszcze jak byłem młodym księdzem w Gdańsku, to właśnie się tak mówiło, że oni przysyłają [agentów]. No więc była ta grupa młodzieży i od czasu do czasu wpadało się w takie myślenie: „Kto tu donosi?”. Był chłopak, który dziwnie się zachowywał i gdzieś ukuło się przekonanie, że to chyba on, bo ma zagrania jakieś takie dziwne. I co się okazało, już po moim wyjeździe, że to był chory chłopak, który bardzo szybko zmarł, że jego zachowanie było autentycznie chorobliwe i wtedy sobie powiedziałem: „Nigdy! Nie obchodzi mnie. Jeszcze się pomylę i będę kogoś podejrzewał. I po co?”. Więc tutaj już w Lublinie ani gdzie indziej nie interesowało mnie w ogóle, kto donosi. Przychodzili z zewnątrz, także z KUL-u, mówili: „O, ten – pokazywali – tego należy wyrzucić, bo on coś tam”. Ja na to za bardzo nie reagowałem. Natomiast jakie były metody, to już w Gdańsku zauważyłem. Były takie metody, że jeżeli się komuś powinęła noga, powiedzmy, zaważył coś na uczelni, groziło wyrzucenie z uczelni, oni się wtedy zjawiali i proponowali, że pomogą, ale właśnie za cenę współpracy. Na ogół w ten sposób

łamali. Miałem kilka takich wypadków, że ktoś przychodzi i opowiada o tym, jak go tam łapią. I próbowałem powiedzieć: „Masz zwyczajnie spotkać się i powiedzieć, że to jest nasze ostatnie spotkanie, bo jeżeli nie, to opublikujesz to. I możesz powiedzieć, że wspólnymi siłami to zrobimy”. Na ogół to było skuteczne jednak. Ale trzeba było mieć odwagę, żeby tak powiedzieć.

Nie odczuwałem strachu. To znaczy miałem takie sytuacje nerwowe, ale generalnie [strachu] nie odczuwałem. Miałem święte przekonanie, absolutną pewność, że to, co robię, jest słuszne. I że robię to dobrze. Nie miałem ani cienia wątpliwości. To znaczy, byłem ciągle gotów zmienić [postępowanie], jeżeliby mnie przełożony przywołał do porządku, że trzeba inaczej. Byłem na to gotów. Ale wewnętrznie nie miałem żadnego wahania, że robię coś niesłusznego.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2008-04-19, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Tomasz Czajkowski
<b>Redakcja</b>	Justyna Molik
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"